

Taki Jerzy to skarb

Jerzy był na życiowym zakręcie, gdy do drzwi jego mieszkania zapukali wolontariusze jakiejś organizacji. – Typowa akcja typu „pan da, pan da”. A ja wcale nie miałem ochoty dawać im pieniędzy. Miałem za to dużo czasu i mogłem go komuś zaoferować. I jak ci wolontariusze już wychodzili, to dziewczyna wspomniała o Fundacji Gajusz. Że tam potrzebują ludzi z wolnym czasem. Zadzwońtem następnego dnia, a kilka dni później już byłem w Gajuszu na szkoleniu – wspomina.

Podczas spotkań przygotowujących do wolontariatu zdecydował, że chce pomagać w transporcie dzieci. Takich, które mieszkają w różnych miastach i wsiach województwa łódzkiego i są pacjentami oddziałów onkologicznych szpitala przy ul. Spornej. Rodzin tych dzieci zwykle nie stać na opłacenie przewozu, a wiele z nich nie ma własnego samochodu. Co jakiś czas trzeba je przywozić na badania na onkologię, a później odwieźć z powrotem. – Patrząc z mojej męskiej perspektywy, nie widziałem siebie przy kotysaniu niemowląt w Tuli Luli. Uznałem, że transport to coś dla mnie – opowiada.

– Męskie podejście do wolontariatu my także doceniamy. W fundacji jest mocno kobiece środowisko. A czasami potrzebny jest ktoś silny fizycznie. Gotowy jechać choćby i w nocy, żeby dowieźć 2 braci na kolonie. Albo pomagający nam rozstawić wielki namiot podczas pikniku promującego budżet obywatelski. Właśnie z takich akcji znam Jerzego i przynaję, że taki Jerzy to skarb – komentuje Aleksandra Marciniak, w fundacji odpowiedzialna za komunikację.

Pierwszą jazdę z dziewczynką z Gajusza Jerzy pamięta doskonale, bo to właśnie z nią wiąże się historia jego pasji. – Marysia z Łęczycy. Miała może 3 albo 4 latka. Widać było w niej strach. Mama próbowała ją uspokoić. A ja miałem w kieszeni kamień z miejscowości Larapetra w Grecji, najbardziej na południe wysuniętej części Europy. Kamień był zielony, w kropki. Gdy pokazałem go Marysi, to jakby jej ten kamień wyłączył płkanie – relacjonuje.

Przy następnym wyjeździe Jerzy był już przygotowany i w drogę z Marysią wyruszył z kolejnym kamieniem w kieszeni. – A ona patrzy na niego i mówi: „Ale one są wszystkie takie same”. To mi dało do myślenia. Zacząłem czytać na temat szlifowania i polerowania minerałów. W ciągu kilku miesięcy stworzyłem na balkonie minipracownię do ich obróbki. Od tego czasu jeżdżę na wyprawy w poszukiwaniu kamieni, a później sam je obrabiam. To jak obcowanie z pięknem. Każdy etap bycia z kamieniem jest ciekawy. Traktuję to jak rodzaj medytacji, bo daje mi wgląd w siebie i pomaga radzić sobie w trudnych chwilach – opowiada Jerzy.

A one pojawiają się także w fundacji. – Gdy któreś dziecko znika z mojego planu przejazdów, to zwykle nie dopytuję. Spośród dzieci, które woziłem, odeszli Marcel, Malwina, Rafał, Igor. Bardzo poruszyła mnie historia nastoletniej dziewczyny, którą ojciec chciał uwolnić od sprzętu podtrzymującego życie. Nie wiem, jak bym ja sam jako ojciec zachował się w podobnej sytuacji. To był chyba jedyny przypadek, w którym dopytywałem. Dowiedziałem się, że ona wróciła za granicę do zdrowia. Zwykle prezentuję jednak postawę neutralności. Zostawiam ludziom przestrzeń. Jeśli chcą opowiadać, to słucham. Ale najczęściej czapka na głowę i jestem kierowcą – komentuje.

Dla wielu z tych dzieci Jerzy jest jednym z nielicznych mężczyzn w ich życiu. Czasami nawet jedynym. – Mężczyźni mają problem w radzeniu sobie z trudnymi emocjami. Zwykle ratują się ucieczką albo dosłownie, albo ucieczką w alkohol. Rodziny, w których dzieci chorują onkologicznie, często są bez ojców. Przy dziecku zostaje matka. Czy osądzam tych mężczyzn,

kilku znikają? Nie, bo staram się nie oceniać postaw ludzi. Tego mnie życie nauczyło – opowiada.

Uczą go także jego młodzi pasażerowie. – Oni pokazują perspektywę życia. Tak jak Malwina, 17-latką z Kutna. Podczas pierwszego wspólnego kursu włączyłem świetną, jak uważałem, muzykę. Komeda by Możdżer. Zdążyliśmy zrobić może kilkaset metrów, a Malwa mówi: „Co to za smuty pan słucha?”. Miała rację. Nieco później wyrzuciłem tę płytę i przestałem włączać RMF Classic. Bo to dziecko mi pokazało, że wszelkie życiowe wybory, nawet muzyczne, trzeba kierować w stronę radości i cieszenia się życiem. Przerzuciłem się więc na radiową Trójkę i zwykłe RMF – komentuje.

Do dziś jest pełen podziwu dla mamy tej dziewczyny. – Malwa nie żyje, ale jej mama do końca bardzo mocno walczyła o swoje dziecko. Jej poziom determinacji, a czasami także wściekłości, w skali od 0 do 10 oceniłbym na 9,5 – opowiada. Nie żyje również rówieśnik Malwy, Rafał, z którym Jerzy jeździł przez ponad rok: – Miał otwartą ranę na twarzy. Bardzo cierpiał z tego powodu fizycznie i psychicznie. Byłem na jego pogrzebie, a na czas żałoby po Rafale umieściłem w zdjęciu profilowym na Facebooku agat o wyglądzie płonącego ogniska. Wozłem Rafała ze wsi pod Radomskiem. I wiem, że mam tam jeszcze jedną sprawę niedokończoną. Męskie zadanie – pójść z jego bratem nad rzekę na ryby.

Dzięki Rafałowi wie, że warto ufać w bieg wydarzeń. – Czasami dzwonili z fundacji dzień wcześniej z pytaniem, czy dam radę zawieźć go następnego dnia na badania. Budzę się więc o 4 rano, jadę po Rafała, przywożę go do szpitala i wiem, że o godz. 9 mam być na konferencji z szefem. I gdy już myślę, że się spóźnię, to odwołują spotkanie. Po iluś takich sytuacjach dotarło do mnie, że nie wszystko musi być w życiu idealnie zaplanowane. Że nie trzeba się spinać na 100 procent. Że przy dokonywaniu wyborów można oddać inicjatywę losowi. Bo niby co by się mogło stać najgorszego? Mogliby mnie wyrzucić z pracy. Ale to się przecież zawsze może zdarzyć – komentuje.

Przez te kilka lat wolontariatu dotknął też wielu historii z happy endem. – Pamiętam kilkuletnią Marysię, która początkowo jeździła bez włosów i z opuchliznami. A później widziałem, jak z tygodnia na tydzień staje się ponownie dzieckiem. Takim łobuzującym na cały regulator. Któregoś razu jedziemy i w korku ona nagle wypina się z pasów, otwiera drzwi i wyskakuje z auta. Od tego czasu jej rodzice jeździli zawsze razem z nią na tylnym siedzeniu – wspomina.

Jak wożone dziecko miało dobry słuch, to potrafiło nawet wychwycić, co jest w aucie do naprawy. – Jeździłem wtedy moją ulubioną marką, volvo. Przez długi czas byłem przekonany, że mój samochód tak sobie mruczy z powodu 5-cylindrowego silnika. A tu wsiada pewna dziewczynka i mówi mi, że z tyłu to straszny huk jest. Pojechałem do mechanika i rzeczywiście znalazł wadę w układzie wydechowym – relacjonuje.

Dla Jerzego jazda samochodem to nic nadzwyczajnego. Zawodowo robi nawet około 50 tys. km rocznie. Ale to dopiero jeżdżenie z chorymi dziećmi nauczyło go nowego stylu jazdy. – Początkowo inaczej prowadziłem w pracy, a inaczej dla fundacji. Jak konkretnie? Na pewno dużo bardziej uważnie. Z czasem zacząłem tak jeździć już na stałe. Ale to nie znaczy, że jestem zawsze miły i pozwalam sobie w kaszę dmuchać. Bywało, że dzieci odwalaty różne cyrki. Gdy przesadzały, to straszyłem, że wysadzę na najbliższym przystanku PKS-u. Dla fundacji jestem tuż przed okrążeniem kuli ziemskiej. Wiem, bo przecież trzeba robić sprawozdania. To jest najmniej wdzięczna część wolontariatu – mówi.

Z czasem do roli kierowcy Jerzy dorzucił kolejne zadania. – Kwestowałem na rzecz fundacji m.in. na targach kosmetyków i na Święcie Truskawki. Traktuję to jak rodzaj ćwiczenia samego siebie. Uderza to w moje ego. Trzeba przecież zachęcać, nagabywać, opowiadać. Gdy ludzie odmawiają, to rodzi się pokusa, by oceniać ich zachowanie. Pracuję nad tym, żeby jej nie ulegać. To nie jest łatwe zadanie, bo kwesta budzi skojarzenia z żebraniem – opowiada.

Zbiórki finansowe uznaje on również za lekcję bycia szczerze uśmiechniętym. – Zwykle przy którymś człowieku z rzędu pojawia nam się na twarzy plastikowy uśmiech. A chodzi o to, by być prawdziwie serdeczny. Trzeba mieć w sobie to przekonanie i pozytywne nastawienie. Wtedy ono się udziela. Nawet jeśli ten ktoś nie wrzuci pieniędzy do puszek, to będzie pamiętał o fundacji. Może komuś opowie i ten znajomy wpłaci za dwóch – mówi.

Równie mocno Jerzy zaangażował się projekt dla rodzeństw chorych dzieci. Początkowo woził jego młodych uczestników na różne zajęcia. Później poczuł, że chce być ich opiekunem na biwaku i podczas spływu kajakowego. – Niby byłem na urlopie, ale bardzo mnie ten urlop zmęczył. Po takim wypadku niestraszne mi były żadne działania korporacyjne. Bambusily te dzieci jak nie wiem co. Męczyliśmy je nocnymi eskapadami nad morze. A one na to, że jest fajnie. Widać było, że szukają z nami kontaktu i okazji do rozmów. A ja też się świetnie w tym odnalazłem. W takich atawistycznych działaniach jak rąbanie drewna, zbieranie gałęzi w lesie i rozpalanie ognia – komentuje.

W projekcie dla rodzeństw Jerzego poznała 14-letnia dziś Karolcia. – Jak miał przyjechać po nią wolontariusz, to zawsze trzymała kciuki, żeby to był pan Jerzy – opowiada jej mama Agnieszka. – Jakoś tak wyszło, że pana Jurka bardzo polubiłam. Mam nawet minikolekcję kamieni, które od niego dostałam. Trzymam je w specjalnym pudełeczku – potwierdza Karolina.

Najnowsze wyzwanie, którego podjął się za sprawą fundacji pół roku temu, to bycie opiekunem prawnym nastolatka z domu dziecka. – Nie myślałem, że będzie to zajmować aż tyle czasu i energii. Trzeba uczestniczyć w spotkaniach w placówce, w sprawach sądowych i jeździć razem do lekarzy, a czasami także na SOR. Do tego dochodzą kwestie wychowawcze. Jako ojciec dwóch dorosłych synów mam o tym jakieś pojęcie. Ale w przypadku chłopca, który wcześniej nie miał właściwego wzorca męskości, to dużo trudniejsze niż wychowywanie własnych dzieci. Widzę, że mężczyzna, który mówi „nie”, nie do końca mojemu podopiecznemu odpowiada. Staram się jednak nie ulegać emocjom i dokładnie analizować, co będzie dla niego najlepsze. Na razie taką drogą na pewno jest terapia i zadbanie, by nie trafił do młodzieżowego ośrodka wychowawczego – ocenia.

Gdy Jerzy myśli o tym, dlaczego jest w fundacji, to widzi swojego dziadka, który miał talent do pracy z końmi, nawet zaburzonymi. – Też odkrywam takie coś w sobie. Gdy ludzie mnie ostrzegali, żebym uważał z tym chłopakiem z domu dziecka, bo nie wiadomo, jaki on będzie, to mnie to nie przeraziło. Facet musi umieć robić różne rzeczy. Gdy byłem młody, skończyłem wychowanie muzyczne. Ale stryj chirurg przekonał mnie, że grajek to nie zawód dla faceta. Widział mnie w medycynie. Uznałem, że chemia będzie lepszym rozwiązaniem. Teraz jestem w miejscu, w którym potrafię być opiekuńczy, gdy trzeba, nawet mogę bawić się kamyczkami, a jednocześnie wiem, jak być zdecydowanym. Taka męska energia jest w fundacji bardzo potrzebna. I to jest mój apel do mężczyzn. Nie bójcie się swojej wrażliwości! – komentuje.

Jego słowa potwierdza szefowa Gajusza, Tisa Zawrocka-Kwiatkowska. – W fundacji jest dużo małych dzieci, więc też dużo przytulania, noszenia, karmienia. I do tego idealne są kobiety z ich matczyną energią. Ale nie zajmujemy się tylko maluszkami. Dlatego równie mocno potrzebujemy

męskiej siły i determinacji. Jerzy jest właśnie takim zwyczajnym nadzwyczajnym mężczyzną. Zdecydowanym, konsekwentnym, wytrwałym, silnym fizycznie i psychicznie, a do tego z poczuciem humoru. Jego „tak” znaczy „tak”, a „nie” to „nie” i już. Szczególnie nastolatki potrzebują jasnych komunikatów i wyraźnych granic. I nawet jeśli przez chwilę to budzi ich sprzeciw, to jednak bardzo lubią tę moc. A tak w ogóle to mężczyźni są światu, fundacji i nam, kobietom, bardzo, ale to bardzo potrzebni.

Spisała Karolina Tatarzyńska